



Liliana Bodoc - Saga o Rubieżach. Fragment

1

Fahrenheit Crew

Historia ta wydarzyła się przed tyloma wiekami, że nie pozostał po niej najmniejszy ślad, nie przetrwał cień cienia wspomnienia. Nawet gdybyście zdołali przekopać się do jaskiń zagrzebanych pod warstwami nowych cywilizacji, nic nie znajdziecie.

Wypadki, o których opowiem, działy się w zamierzchłej przeszłości, gdy jeszcze kontynenty miały inny kształt, a rzeki inny bieg. Czas ówczesnych stworzeń sunął leniwie, czarodzieje ziemi przemierzali Góry Maduińskie w poszukiwaniu leczniczych ziół, a podczas długich nocy na południowych wyspach nietrudno było zobaczyć tańczących wokół własnych ogonów Lulków.

Niniejsza opowieść jest historią wielkiej i straszliwej wojny, być może największej i najstraszliwszej, jaką stoczono z siłami Wiecznej Nienawiści. Umierała wówczas jedna epoka, a następna, posępna i nieprzejednana, brała w posiadanie cały świat aż po najdalsze krańce.

Wieczna Nienawiść krążyła poza granicami rzeczywistości, szukając formy i namacalnej substancji, która pozwoliłaby jej zaistnieć w świecie żywych. Węszyła za słabością pozwalającą na zadanie rany, przez którą mogłaby wnikać, lecz żadna niedoskonałość żadnej istoty nie była dość duża, by ją przepuścić.

W końcu jednak, jak to bywa w Wieczności, trafiła na coś, co otworzyło jej dostęp, a tym czymś było pewne nieposłuszeństwo.

Oto bowiem Śmierć, niepomna na obowiązujący ją zakaz tworzenia nowych bytów, zrodziła z własnej substancji istotę i pokochała ją jak syna. Spłodzona wbrew odwiecznym prawidłom dzika latorośl stała się cieniem Wiecznej Nienawiści na tej ziemi i przemawiała jej głosem.

Na zapomnianym szczycie Starych Ziem niewidoczna dla zwykłych oczu Śmierć zesała między ludzi syna, któremu nadała imię Misaianes. Najpierw był widmem, które wykluło się pomiędzy jej zębami, potem nieskładnym gaworzeniem, wreszcie krzykiem i wyciem. Kiedy się zaśmiał, przeraził samą Śmierć. Na koniec pokrył się piórami i wzleciał ku słońcu.

Zdobył niezliczonych pachołków. Istoty wszelkiej maści kłaniały się w pas na sam dźwięk jego oddechu i czciły jego głos. Były też jednak pośród wszystkich plemion istoty, które z nim walczyły. W ten sposób wojna dotarła do każdego lasu, każdej rzeki i każdej wioski.

Kiedy siły Misaianesa przemierzyły morze dzielące je od Żyznych Ziem, magia i jej stworzenia połączyły siły, by stawić im czoło. O tych wypadkach opowiem wam szczegółowo w ludzkiej mowie.

Część pierwsza

Powracają deszcze

- Jutro przyjdzie... - zanuciła babcia Kush na dźwięk pierwszych grzmotów. Odłożyła na bok przędę i podeszła do okna, by wyrzeć na las. Nie czuła ani odrobiny niepokoju, bo wszystko w jej domu było odpowiednio przygotowane.

Kilka dni temu jej syn i wnukowie skończyli pokrywać dach sosnową smołą. W domowej spiżarni zgromadzono dość słodkiej i gorzkiej mąki oraz całą górę dyń. Kosze ugięły się pod ciężarem suszonych owoców i ziarna. W szopie było dość drwa na całą zimę, a do tego babcia i dziewczynki utkały grube koce, które teraz spoczywały w kącie niczym misterna tęcza.

Jak każdej zimy powracała do krainy Husihuilków długa fala deszczów. Nadciągała od południa, znad morza, niesiona wiatrem, który rozpościł na niebie Rubieży gęste chmury i pozostawiał je tam, póki nie zmęczyły się płaczem.

Pora deszczowa rozpoczynała się od mżawek, obserwowanych przez ptaki z brzegów gniazd, przez zające z wylotów norek, a przez ludzkich mieszkańców Rubieży z domków o niskich sklepieniach. Nim rozpadało się na dobre, wszystkie żywe istoty znajdowały się w bezpiecznych schronieniach. Legowisko pumy, lisie nory, dziuple i gniazda w koronach drzew, podziemne groty, barłogi, mrowiska, domy Husihuilków - wszystko to zostało umiejętnie zabezpieczone w zgodzie z przechodzącą z pokolenia na pokolenie wiedzą umożliwiającą korzystanie z dóbr lasu i morza. Stworzenia Rubieży stawiały czoło deszczom i wiatrom sposobami niemal równie starymi jak sam deszcz i wiatr.

- Jutro przyjdzie woda - powtórzyła babcia Kush i zaczęła nucić pieśń pożegnalną. Kuy-Kuyen i Wilkilén podbiegły do staruszki, szukając ciepła w jej ramionach.

- Zaczynj jeszcze raz! - prosiła starsza z wnuczek. - Zacznijmy razem!

Kush przygarnęła dziewczynki do siebie i wszystkie trzy rozpoczęły pieśń, którą Husihuilkowie intonowali przed każdą porą deszczową. Śpiewała ciepłym, wibrującym głosem południowego plemienia, nie mając pojęcia, że już wkrótce w morze wyruszą heroldowie kresu wieloletniej pomyślności.

Dziewczynki wspomagały ją śpiewem, wypatrując mężczyzn, którzy lada chwila mieli się pojawić z ostatnimi przyniesionymi z lasu zapasami. Babcia Kush i Kuy-Kuyen śpiewały jednogłośnie, nie myśląc się ani razu. Wilkilén, która przeżyła dopiero pięć pór deszczowych, spóźniła się nieco ze słowami, podnosząc wówczas na babcię poważne spojrzenie, jakby obiecywała, że następnym razem się poprawi. W powietrzu niosła się pożegnalna pieśń Husihuilków.

Biegnij zdrów, jeleniu.

Uciekaj, ukryj się!

Niebieska mucha umyka w dal

Bo nadciąga deszcz.

Ojciec Sokół ochroni

Dziatki twoje.

Druhowie mili, lesie kochany,

Zobaczymy się znowu,

Gdy w nasze progi wróci słońce.

Wyglądające przez okno postacie należały do plemienia o ciemnej karnacji, ciemnych włosach i oczach. Charakter Husihuilków kształtował się w bojach. Ich mężczyźni byli silni i wytrzymali, kobiety zaś – jako że sporą część życia spędzały w oczekiwaniu na nich – cierpliwe i ascetyczne. Nie używały żadnych ozdób z wyjątkiem nanizanych na sznureczki morskich koralików, tworzących bransoletki, naszyjniki lub przepaski na czoło. Ubierały się w jasne tuniki sięgające do kolan, sandały i lniane lub wełniane, zależnie od pory roku, płaszcze. Tak też prezentowały się teraz babcia i dwie wnuczki, hojnie obdarzone przez naturę urodą swojego plemienia.

- Patrzcie! - zawołała Wilkilén. - Lulkowie! Babciu, zobacz! Przyszli!

- Gdzie ich widzisz, kochanie?

- Tam, tam! - wołała dziewczynka, precyzyjnie wskazując wielki orzech rosnący pośrodku drogi między domem a lasem.

Kush spojrzała we wskazanym kierunku. Rzeczywiście, wokół pnia owijały się i rozwijały, jakby prosząc o uwagę, dwa świecące ogonki, jeden czerwony, drugi zaś jasnożółty. Kolor określał wiek Lulka - im starszy osobnik, tym bielsze rzucał światło.

Stara Husihuilkanka ani trochę się nie zdziwiła. W poszukiwaniu miodowych i dyniowych placzków Lulkowie zapuszczali się tu od dnia śmierci Shampalwe niemal każdego wieczora pory suchej. Kush włożyła do koszyka dwa kruche placuszki, samotnie wyszła z domu i ruszyła w stronę orzecha, by je tam zostawić i wrócić. Lulkowie nigdy z nią nie rozmawiali. W ciągu pięciu lat swoich wizyt nie odezwali się ani razu.

Lulkowie nie przyjaźnili się z ludźmi i uciekali przed nimi, ilekroć było to możliwe. Porzucali wtedy wyprostowaną pozycję i biegli co sił na czterech łapach. Gdy zaskoczyło się ich w środku lasu, stali bez ruchu ze spuszczonej głowami i wbitymi w ziemię racicami, póki człowiek się nie oddalił. A jednak to oni przynieśli do domu ukąszoną przez węża Shampalwe i, umierającą, położyli łagodnie pod orzechem. Wtedy babcia Kush po raz pierwszy mogła z bliska spojrzeć Lulkowi w oczy. Oczy, które mówiły: „Nie mogliśmy zrobić dla niej nic więcej”. Dziś babcia szła na spotkanie z podobnym spojrzeniem.

Postawiła koszyk na ziemi i już miała wrócić do wnuczek, gdy jeden z Lulków zagwizdał. Zaskoczona obróciła się w obawie przed atakiem, lecz zamiast tego napotkała spojrzenie starszego z przybyłych, identyczne z tamtym spojrzeniem sprzed pięciu lat. Zrozumiała, że zbliża się kolejna tragedia, i stawiała jej czoło z wyuczonym spokojem swojego plemienia.

- Co tym razem? - zapytała.

Lulek milczał, lecz w jego wielkich oczach malowała się zła wróżba.

- Przemów do mnie, bracie Lulku - błagała Kush. - Powiedz, co wiesz. Może jeszcze zdołamy coś ocalić.

On jednak obrócił się w stronę lasu i umknął na czterech łapach. Młodszy, bardziej beztrojski, nie zamierzał zrezygnować z uczty. Wyjął z koszyka placki i dopiero wówczas ruszył za towarzyszem.

Kush bardzo powoli wlokła się z powrotem do domu, odtwarzając w zaszępionej duszy ów odległy dzień, w którym umarła Shampalwe, a narodziła się Wilkilén.

Shampalwe i Dulkancellin pobrali się wkrótce po święcie słońca. Kobieta pochodziła z wioski Wilú-Wilú, leżącej w pobliżu Gór Maduińskich, i miała najśłodsze serce ze wszystkich bijących na Rubieżach.

- Kiedy śpiewa, widać, jak rosną dynie - mawiali ci, którzy ją znali.

Nastali szczęśliwe lata. Dulkancellin chodził na polowania z innymi mieszkańcami wioski, brał udział we wszystkich wspólnych wypadach i dwukrotnie wrócił bez szwanku z potyczek klanowych. Kush i Shampalwe dzielili między siebie domowe zajęcia. Dulkancellin i Shampalwe doczekali się piątki dzieci, a każde z nich było dla starej kobiety nową radością. Najpierw pojawili się dwaj chłopcy - Thungür i Kume. Wkrótce po nich na świat przyszła Kuy-Kuyen. Potem był trzeci chłopiec, Piukemán, i wreszcie, w środku lata, narodziła się Wilkilén. Kush lubiła przyglądać się każdemu wnukowi z osobna, bo w każdym tkwił jakiś ślad urody i wdzięku ich matki.

W dniu narodzin Wilkilén Shampalwe zostawiła dzieci pod pieczę babki i udała się nad Jezioro Motyli, by zanurzyć się w wodach przywracających świeżo upieczonym matkom siłę ciała i spokój ducha. Lulkowie przynieśli ją stamtąd jeszcze na tyle żywą, by zdążyła ucałować dzieci na pożegnanie, poprosić Kush o opiekę nad nimi i doczekać powrotu Dulkancellina, który udał się na polowanie, by smacznym mięsem uczcić narodziny kolejnej córki. Na brzegu jeziora, u wylotu groty, ukąsił ją w kostkę szary wąż, jakiego od lat nie widywano w okolicy. Gdy znaleźli ją Lulkowie, miała w dłoniach dopiero co zerwane kwiaty.

- Kwiaty, które nie wyrosły z nasion... przynęta węża... - wymamrotał Kupuka.

Czarownik Ziemi usiłował przywrócić kobietę do życia za pomocą medykamentów pochodzących z lasu i gór, lecz ani jego leki, ani młodość Shampalwe, ani nawet błaganie człowieka, który nigdy przedtem o nic nie błagał, nie zdołały jej uratować. Zmarła tego samego dnia, gdy na Rubieżach zapadał zmrok.

Przez wzgląd na nią babcia Kush poprosiła Lulków, by przychodzili po podarek każdego wieczora, o ile tylko zezwoli na to aura.

- W ten sposób my będziemy się wam odwdzięczać, a wy będziecie ją wspominać - rzekła im staruszka.

Lulkowie odeszli. Kupuka odszedł. Dulkancellin wypuścił strzały w niebo. A dzieci rosły, otoczone troskliwą opieką babci Kush.

Staruszka usłyszała stłumione śmiechy. To Kuy-Kuyen i Wilkilén żartowały sobie z babci, która tak pogrążyła się w zadumie, że zastygła w bezruchu z wyciągniętą ręką o krok od drzwi. Ocknęła się i weszła do środka.

- Dość tych wygłupów! Bierzmy się do roboty! - burknęła Kush z udawaną urazą, w którą dziewczynki oczywiście nie uwierzyły.

- Babciu, co się stało Lulkom? - zapytała Kuy-Kuyen, która odziedziczyła po matce zdolność zaglądania w głąb duszy.

- A co się miało stać? - zapytała lekceważąco babcia, usiłując przekonać samą siebie. - Nic, nic.

- Lulkowie tak ładnie śpiewają, babuniu - zaszczebotała mała Wilkilén. - Ja też tak umiem! - Po tych słowach próbowała gwizdać jak Lulek, podskakując krótko to na jednej, to na drugiej nodze. Jej z kolei przypadła w spadku po matce pogoda ducha.

Nim staruszka zdążyła zarządzić powrót do tkania, do domu dotarły znajome głosy. To Dulkancellin z synami wracał z lasu, niosąc kolejną partię chrustu, aromatyczne rośliny do palenia w kominku podczas długich, okraszonych opowieściami wieczorów, i ostatniego w sezonie zajęcia, którego babcia powinna natychmiast ugotować.

Nie od razu weszli do domu. Najpierw złożyli chrust na przeznaczonym do tego miejscu, starannie rozdzielając większe i mniejsze gałęzie. Potem podeszli do niskiej, okrągłej budowli z maduńskiego kamienia, by się obmyć i odkazić olejkiem zadrapania, których nabawili się w lesie. W końcu Dulkancellin, a w ślad za nim trzej synowie, przestąpili próg domu.

Na zewnątrz zapadała już ciemność. Wielkie drzewa mocno wcisnęły się w ziemię w obronie przed wichrem, który przyniósł ze sobą stado czarnych jak sama noc kruków.

Na rozciągniętej skórze dymił zając ugotowany w wodzie przyprawionej ziołami - obok kukurydzianego chleba i kapusty stały element jadłospisu rodziny wojownika.

W blasku ognia z kominka twarze domowników wyglądały jak kształty ze snu. Husihuilkowie jedli w milczeniu. Dopiero gdy wszyscy skończyli posiłek, Dulkancellin przemówił.

- Słyszeliśmy dziś w lesie bęben Kupuki wzywającego któregoś ze swych braci. Słyszeliśmy też odpowiedź na wezwanie. Nie rozumiałem, co przekazują, ale bębny czarowników brzmiały bardzo dziwnie.

Imię Kupuki zawsze wzbudzało zaciekawienie u starszych, a młodszym zamykało usta.

- Skąd dobiegał dźwięk? - zapytała syna babcia Kush.

- Bęben Kupuki od strony wulkanu. Drugi był mniej wyraźny. Mógł dochodzić z...

- Z wyspy Lulków - dokończyła Kush.

- Wy też go słyszałyście?

Dulkancellin nie doczekał się odpowiedzi, bo staruszka znów zadumała się nad spojrzeniem Lulka o żółtym ogonie.

- Kush! - ofuknął ją syn. - Pytam, czy i wyście go słyszały?

Babcia otrząsnęła się i przeprosiła, lecz nie miała ochoty dzielić się z nikim wrażeniami z niedawnego spotkania.

- Nie - odparła. - Nic nie słyszałyśmy. Po prostu lubię zgadywać - dodała.

- Kupuka będzie jutro w Dolinie Przodków. Porozmawiam z nim - zakończył rozmowę Dulkancellin.

Co roku przed rozpoczęciem pory deszczowej Husihuilkowie gromadzili się w Dolinie Przodków, by pożegnać żywych i umarłych. Jedli, tańczyli i śpiewali, ale przede wszystkim wymieniali to, czego mieli w nadmiarze, na to, czego im brakowało, by wszyscy mogli bezpiecznie doczekać powrotu

słońca.

Wkrótce miała ich rozdzielić podmokła ziemia, wiatr i chłód. Nadciągał czas bez polowań, siewu i wojen. Czas, w którym wszelkie stworzenia komunikowały się ze sobą jedynie w razie najwyższej konieczności.